

O syndykalizmie

Autor: **Ludwig von Mises**

Źródło: [Ludzkie działanie](#)

Tłumaczenie i autor komentarza: **Jacek Sierpiński**

Esej przetłumaczony i opublikowany pierwotnie na libertarianizm.pl

Termin „syndykalizm” używany jest do wyrażenia dwóch zupełnie odmiennych rzeczy.

Syndykalizm w sensie, w jakim używają tego słowa zwolennicy Georges’a Sorela oznacza specyficzną taktykę rewolucyjną, która ma być zastosowana dla urzeczywistnienia socjalizmu. Zakłada ona, że związki zawodowe nie powinny marnować swojej siły na polepszenie warunków bytowych pracowników najemnych w ramach kapitalizmu. Powinny one zastosować *action directe*, akcję bezpośrednią, nie wzdragając się przed przemocą w celu zniszczenia wszystkich instytucji kapitalizmu. Nie powinny nigdy przerywać walki — w dosłownym znaczeniu tego słowa — o ich ostateczny cel, socjalizm. Proletariuszom nie wolno dać się ogłupić przez frazesy burżuazji, takie jak wolność, demokracja, rząd przedstawicielski. Muszą oni szukać swego zbawienia w walce klasowej, w krwawych rewolucyjnych wstrząsach i w bezlitosnym unicestwieniu burżuazji.

Doktryna ta odgrywała i wciąż odgrywa olbrzymią rolę we współczesnej polityce. Dostarczyła ona zasadniczych idei rosyjskiemu bolszewizmowi, włoskiemu faszizmowi i niemieckiemu nazizmowi. Ale to jest problem czysto polityczny i można go w niniejszej analizie pominąć.

Drugie znaczenie terminu „syndykalizm” odnosi się do programu gospodarczej organizacji społeczeństwa. Podczas gdy socjalizm dąży do zastąpienia prywatnej własności środków produkcji własnością rządową, syndykalizm chce dać prawo własności do fabryk zatrudnionym w nich pracownikom. Ostateczne cele syndykalizmu najlepiej oddają takie hasła, jak „koleje — kolejarzom” czy „kopalnie — górnikom”.

Idee socjalizmu i syndykalizmu w sensie *action directe* zostały rozwinięte przez intelektualistów, których określenia jako burżujów nie mogą uniknąć

konsekwentni adepci jakiegokolwiek marksistowskiej sekty. Ale idea syndykalizmu jako systemu organizacji społecznej jest prawdziwym produktem „proletariackiego umysłu”. Jest ona dokładnie tym, co naiwny robotnik uważa za uczciwy i praktyczny środek do polepszenia swego materialnego dobrobytu. Wyliminujemy bezczynnych pasożytów, przedsiębiorców i kapitalistów, i dajmy im „niezarobione dochody” pracownikom! Nie może być nic prostszego.

Jeśli potraktowałyby się te plany poważnie, nie trzeba byłoby zajmować się nimi przy omawianiu problemów interwencjonizmu. Trzeba byłoby uznać, że syndykalizm nie jest ani socjalizmem, ani kapitalizmem, ani interwencjonizmem, ale systemem odmiennym od tych trzech schematów. Jednak nie można brać syndykalistycznego programu poważnie i nikt nigdy tego nie zrobił. Nikt nie był tak nierozsądny, by otwarcie bronić syndykalizmu jako systemu społecznego. Syndykalizm odgrywał rolę w omawianiu problemów ekonomicznych jedynie w tej mierze, w jakiej pewne programy nieświadomie zawierały syndykalistyczne cechy. Elementy syndykalizmu są obecne w niektórych celach rządowej i związkowej ingerencji w zjawiska rynkowe. Ponadto jest coś takiego, jak socjalizm gildyjny i korporacjonizm, doktryny stwarzające skutek zafałszowania syndykalistyczną domieszką pozory uniknięcia rządowej wszechmocy nieodłącznej od wszelkich socjalistycznych prób (...).

Korzenia idei syndykalizmu można dopatrzeć się w wierze w to, że przedsiębiorcy i kapitaliści są nieodpowiedzialnymi autokratami, którzy mogą arbitralnie prowadzić swe sprawy. Takiej dyktatury nie można tolerować. Liberalny ruch, który zastąpił despotyzm dziedzicznych królów i arystokratów rządem przedstawicielskim musi ukoronować swe osiągnięcia zastąpieniem tyranii dziedzicznych kapitalistów i przedsiębiorców „demokracją przemysłową”. Rewolucja gospodarcza musi być kulminacją wyzwolenia ludu rozpoczętego rewolucją polityczną.

Podstawowy błąd tego argumentu jest oczywisty. Przedsiębiorcy i kapitaliści nie są nieodpowiedzialnymi autokratami. Są oni bezwarunkowo poddani suwerenności konsumentów. Rynek to demokracja konsumentów. Syndykaliści chcą przekształcić ją w demokrację producentów. Idea ta jest błędna, gdyż wyłącznym celem produkcji jest konsumpcja.

To, co syndykalista uważa za najpoważniejszy defekt systemu kapitalistycznego i dyskredytuje jako brutalność i nieczułość autokratycznych

robigroszy, jest dokładnie wynikiem supremacji konsumentów. W umożliwiających konkurencję warunkach nieskrępowanej gospodarki rynkowej przedsiębiorcy zmuszani są do udoskonalania technologii produkcji bez oglądania się na interesy pracowników. Pracodawca jest zmuszany do tego, by nigdy nie płacić pracownikom więcej, niż odpowiada to konsumenckiej ocenie ich osiągnięć. Jeśli pracownik prosi o podwyżkę, bo jego żona urodziła mu nowe dziecko, a pracodawca odmawia, bo to dziecko nie wnosi nic do wysiłku fabryki, to pracodawca ten działa jako przedstawiciel konsumentów. Konsumenci ci nie są przygotowani płacić więcej za jakiś towar tylko dlatego, bo pracownik ma dużą rodzinę. Naiwność syndykalistów objawia się w fakcie, że nigdy nie przyznaliby producentom artykułów, które sami używają, tych samych przywilejów, których żądają dla siebie.

Zasada syndykalizmu wymaga, by udziały każdej korporacji zabrano „nieobecnej własności” i rozdzielono równo między zatrudnionych; spłata odsetek i zadłużenia kapitału ma zostać wstrzymana. „Zarządzanie” przejdzie wówczas w ręce rady wybranej przez pracowników, którzy teraz będą też udziałowcami. Ten rodzaj konfiskaty i redystrybucji nie doprowadzi do równości w narodzie lub na świecie. Dałoby to więcej pracownikom tych przedsiębiorstw, w których udział zainwestowanego kapitału na głowę pracownika jest większy, a mniej pracownikom tych, gdzie jest on mniejszy.

Charakterystyczne, że syndykaliści zajmując się tymi problemami zawsze mówią o zarządzaniu i nigdy nie wspominają działalności przedsiębiorcy. Jak widzi to przeciętny niższy pracownik, wszystkim, co trzeba robić w prowadzeniu biznesu jest realizowanie tych podrzędnych zadań, które w ramach planów przedsiębiorcy powierzane są hierarchii kierowniczej. W jego oczach pojedynczy zakład czy warsztat, w takiej formie, w jakiej on dzisiaj istnieje i działa, jest stałym przedsięwzięciem. Nigdy się nie zmieni. Zawsze będzie produkował te same produkty. Ignoruje on całkowicie fakt, że warunki nieprzerwanie się zmieniają i że struktura przemysłu musi być codziennie dostosowywana do rozwiązywania nowych problemów. Jego obraz świata jest stacjonarny. Nie zezwala na nowe gałęzie biznesu, nowe produkty i nowe, lepsze metody wytwarzania starych produktów. Syndykalista ignoruje zatem zasadnicze problemy przedsiębiorczości: dostarczanie kapitału na nowe przedsięwzięcia i ekspansję już istniejących przedsięwzięć, ograniczanie wyposażenia potrzebnego

na produkty, na które spada popyt, udoskonalanie techniki. Nie jest nieuczciwym nazwanie syndykalizmu gospodarczą filozofią ludzi krótkowzrocznych, niewzruszonych konserwatystów patrzących podejrzliwie na każdą innowację i tak zaślepionych zazdrością, że miotają przekleństwa na tych, którzy dostarczają im więcej, lepszych i tańszych produktów. Są oni jak pacjenci żywiący do lekarza urazę za to, że odniósł sukces lecząc ich z choroby”.

Komentarz tłumacza

Do powyższego tekstu chciałbym dorzucić parę słów komentarza. Ludwig von Mises, jeden z najwybitniejszych ekonomistów XX wieku (jego uczniami byli m. in. laureat Nagrody Nobla F. Hayek i ojciec tzw. anarchokapitalizmu, Murray N. Rothbard) twierdząc, że „nie można brać syndykalistycznego programu poważnie” nie miał na myśli tego, że gospodarka, w której pracownicy są jednocześnie właścicielami swych przedsiębiorstw nie jest w stanie funkcjonować czy że sprzeciwia się ona zasadom ekonomii. Przeciwnie — w swej pracy [Kalkulacja ekonomiczna w socjalizmie](#) przeciwstawiał on taki model gospodarki centralnie planowanej gospodarce socjalistycznej, twierdząc, że o ile syndykaty kontrolujące poszczególne gałęzie przemysłu posiadały taką autonomię, że *de facto* równałyby się ona prawu własności środków produkcji, którymi by dysponowały, to „nie byłaby to socjalizacja, ale kapitalizm robotniczy i syndykalizm”. Ten „kapitalizm robotniczy i syndykalizm” był dla Misesa formą „prywatnej własności środków produkcji”.

Dla Misesa było jasne, że owe syndykaty, tak jak każde spółki, współpracowałyby ze sobą na zasadach rynkowych, negocjując i zawierając ze sobą transakcje handlowe. Jeśli państwo by się nie wtrącało, byłby to wolny rynek, ze wszystkimi obowiązującymi na nim zależnościami. Co Mises krytykował, to brak świadomości tych zależności u wielu syndykalistów. Nie dostrzegają oni, że przedsiębiorstwo może ponosić straty i że jego zyski uzależnione są od umiejętnego inwestowania. Nie dostrzegają, że syndykat chcąc nie chcąc będzie musiał pełnić „zbyteczne” role przedsiębiorcy i kapitalisty, role wynikające z samej istoty gospodarki rynkowej, i jeśli będzie pełnić je źle (np. przeznaczając zbyt dużo na płace, zawyżając ceny, nietrafnie inwestując) może ponieść straty, a nawet zbankrutować. Ulegają w pewnym sensie temu samemu

złudzeniu, co republikanie za monarchii uważający, że gdy władzę odda się „ludowi”, wszyscy będą wolni.

Wielu syndykalistów, którzy mieli i mają świadomość tych zależności, próbowało i próbuje łączyć syndykalizm z socjalizmem: przymusowym centralnym planowaniem w większy lub mniejszy sposób ograniczającym autonomię syndykatów. Ich współpraca miałyby polegać nie na swobodnych negocjacjach i umowach handlowych, ale na wyłanianiu delegatów do rad i komitetów, będących ciałami nadrzędnymi w stosunku do poszczególnych syndykatów. Owe rady i komitety wyobrażano sobie jako hierarchię, na szczycie której miałyby stać ogólnokrajowy czy ogólnoświatowy zjazd czy rada. Decyzje w nich miałyby oczywiście zapadać większością głosów. Przykładem może być tu program tzw. Samorządnej Rzeczypospolitej z I zjazdu „Solidarności” w 1981 r., zgodnie z którym mimo dość szerokiej samorządności przedsiębiorstwa nie miały być bynajmniej własnością ich pracowników, lecz „ogólnonarodową” i miały stanowić w gruncie rzeczy jedną monopolistyczną korporację (nie przewidywano prywatnej konkurencji), a państwo miało ingerować w ich działalność „środkami ekonomicznymi”. Podobnym koncepcjom hołdowało i hołduje również wielu anarchosyndykalistów, z tym że jak się wydaje dla nich decyzje rad nie miałyby mieć ostatecznie wiążącego charakteru. Np. we współczesnym programie amerykańskiej organizacji anarchosyndykalistycznej Workers Solidarity Alliance można przeczytać, że „gospodarka jako całość musi być zarządzana przez całą klasę pracujących (...). Może to być zorganizowane przez konferencje delegatów (...). Delegaci przedstawiliby, omawialiby i uchwalaliby idee i cele rozwijane i zatwierdzone przez lokalne zgromadzenia pracownicze (...)”. O ile rozumieć to tak, że syndykaty nie musiałyby podporządkowywać się decyzjom owych konferencji, jeśli by się z nimi nie zgadzały (w przeciwnym razie byłaby to po prostu odmiana socjalizmu z bezpośrednią demokracją większością, czyli nieustanny przymus większości w stosunku do mniejszości), stanowi to wyraz utopijnej wiary w to, że pracownicy w pełni władając swymi przedsiębiorstwami dobrowolnie podporządkują się jednolitemu planowaniu, że takie planowanie jest korzystniejsze od „produkcyjnej anarchii” i że jest ono w warunkach wolnego rynku (bo możliwość swobodnego czynienia ofert i swobodnego ich przyjmowania bądź nie to właśnie wolny rynek, niezależnie od tego, że WSA nazywa to „zbiorowym podejmowaniem decyzji”, odżegnując się od „kapitalistycznego

rynku”) w ogóle możliwe. Utopijność tę łatwo dostrzec zadając sobie pytanie, czemuż to, skoro tego typu struktura współpracy miałyby być korzystniejsza z punktu widzenia poszczególnych producentów-syndykatów (musiałoby tak być, skoro mieliby ją dobrowolnie akceptować), obecni producenci się tak nie zorganizowali, „bezsensownie” ze sobą konkurując?

Oczywiście odrębną sprawą jest wiązanie koncepcji własności pracowniczej z koncepcją wywłaszczenia niektórych lub wszystkich obecnych właścicieli. O tym jednak może kiedy indziej.